Rozmaitości

DNIA 12. GRUDNIA. Ner 50. 1835 ROKU.

TETERA.

POWIEŚĆ ZAPOROZKA.

Podług rossyjskiego.

Tetera byłto młody, silny, hoży kozak; dusza jego była ognista, dumna, nieugięta; byłto źrebiec stepu.

Praxeda była jego kochanka; dziewczyna młoda, urodziwa, wstydnego lica, gorącego serca; byłto kwiat puszczy, potulny, skromnego wdzięku.

Oczy Tetery były czarne, jak jest noc czarna śród burzy, chmurami zasuta; z tych oczu biła często łyskawica. Oczy Praxedy były błękitne, urocze, jak po deszczu niebo, i tak wilgotne.

Jednego wieczora nad brzegiem Dniepru siedział kozak ze swoją kochanką; jak świéże mléko, w którém kropla krwié rozpłynęła, były jagody Praxedy.

Tetera ujął ją za ramię, i w tę do niéj odezwał się słowa: »Czy wiesz ty Praxedo, co jest miłość moja? O, jestto płomień z nieba, nikt go z ludzi nie zgasi! O, jestto moje życie, i więcéj niż życie, jestto moja dusza! I wtedy jeszcze, gdy już w mogile zasnę, i w proch się rozmarzę, o, i wtedy jeszcze kochać cię będę.«

A Bogu wiadomo, że on prawdę mówił, i nikt z ludzi, kto go widział i znał o tém nie wątpił, bo jego czarne oczy, jego jasne czoło, jego gładkie lice, mówiły to samo, co jego gadały kalinowe usta.

Praxeda słuchała słodkich słów Tetery, i wzniosłszy swoje śnieżne aksamitne, długą czarną rzęsą ustrzępione powieki, utopiła wzrok swój w kochanka wzroku, i tak do niego rzekła: »Ach Tetero! i ja ciebie kocham.« To rzekła głosem tak słodkim, jak są słodkie piosnki wiosny, głosem tak czystym, jak jest czystym dech dziewiczy, którym zieją puszcze kwiatorośne. Ale zaledwie, gdy te słowa wymawiała, otworzyła usta, już się tém, co rzekła, zczerwieniła; boto była istno-czysta i szczéro-piękna dusza. Tetera przygiął ją ku sobie i przytulił serdecznie; usiedli oboje na skale, gdzie im Dniepr dziko szumiał, i w czarne morze toczył wody swoje.

Nie raz tam chadzali, aby się przypatrzyć tym skalistym progom, po których się gniewny strumień pieni; często tam chadzali, aby się przypatrzyć téj sinéj puszczy, która się w niedojrzaną rozwija równinę. Teraz na to nie zważali, jak nie zważali na zachodzące słońce, które w zielonym stepie złotokrasnym umiérało promieniem.

Tetera patrzył jeno w Praxedę, Praxeda myśliła jeno o swoim kochanku; oboje gorąco patrzyli w siebie, aż się im zćmiły oczy, aż ich usta wssały się w ich duszę.

Byłto całunek gorący, całunek z dna serca, całunek długi, który zdawał im się być łyskawicą, który ich duszę upoił i który w krwié ich zakipiał. Błogi spokój nadszedł po tym całunku, obojgu było błogo, bawili się jak dzieci. Tetera ujrzał się w wilgotném źwierciedle oczów młodéj dziewczyny, a biała dłoń Praxedy pieściła się kruczemi włosy kochanka. Ich czarne pierścienie wiła około swoich białych palców, a burzliwy młodzian leżał jéj u nóg, jak zgaszony piorun; leżał potulnie, jak łagodne jagnię.

»Słuchaj,« rzekł do niéj Tetera, »ja każę słodką twarz twoję wypisać na białym atłasie, a dam za ten luby obrazek broń swoję, dam wiatronogiego gniadosza, dam ten świat cały, a nawet życie moje, jeżeli tego kazać będzie potrzeba.«

A Praxeda mu rzekła: »Zjedź lotnym koniem swoim i wszérz i wzdłuż świat cały, zgość w całym świecie chatę po chacie, a nie znajdziesz niewiasty, którąby ciebie tak z serca miłowała, jak ja cię serdecznie miłuję.« To mówiąc spuściła na pierś głowę i uczuciem omdlona pochyliła się w ramiona ulubieńca.

Szary zmrok ciemnił się coraz bardziéj, aż się stał nocą, która, chcąc kochanków zabrać oczom ciekawego świata, okryła ich czarnym nieprzejrzanym płaszczem.

Czas toczył swoje koło, godzina po godzinie, biegła, jak biegą sprychy w kole, aż kur północ zapiał; koń kozaka zarżał i kopytem grzebiąc, dawał mu znak odjazdu.

A kozak nie wybiérał się na dzień lub dni kilka, nie jechał ani na połów złoto-łuskiéj ryby, ani na upolowanie gałęzistego jelenia, ani na łzawego bobra, ani na złodziejskiego wilka.

Kozak wyprawiał się na wojnę; wzywała go wojna, słuchał wojny głosu. Miał daleką drogę, nie wiedział kiedy wróci. Kozak wyprawiał się na pole krwawe, gdzie mogiły rostą, nie wiedział, czy w któréj nie lęgnie.

Wielki zawiał go smutek, zerwał się i opamiętał, ujął mocno w ramiona kochankę, dał jéj ognisty całunek, który gorzał długo na ustach, gorzał wiecznie w pamięci.

»Praxedo! będzieszże mi wierną,« rzekł głosem stłumionym żałością, głosem głębokim. Młoda dziéwczyna otworzyła w odpowiedź usta, ale jéj słowa skonały na języku.

Jakaś gędźba dziwna ozwała się w pobliżu; bałałajka jęknęła w ton smutny; jakiś głos szyderczy, bolesny do słuchania, wszczął tę oto dumę żałosną:

»Kto w podróż jedzie, a że wiosna wieje
Płaszcza nie bierze, jakże ja się śmieję.«
»Kto pośród Dniepru, kiedy prąd szaleje,
Chce w łódce zasnąć, jakże ja się śmieje.«
»Kto szczęścia szuka, a wszystkie nadzieje
W panach pokłada, jakże ja się śmieję.«
»Ale z trzech głupich, ten w głupstwie przemierza,
Kto krasnéj dziéwki przysięgom zawierza.«
»Słuchajcie! Śpiéwam Fedora przygody,
A byłto młodzian i gładki, i młody.«
»Aj, młodzian hardy, jak lew na pustyni,
Koń dziki w stepie, gdy swawolę czyni.«
»Aj, byłto młodzian wielkim sprawom zdolny,
Jak strzała chyży, jak powietrze wolny.«
»I tańcem nętny i okiem powabny,
Wąs miękki muskał, nito mech jedwabny.«
»Aj, tożto dziéwki jadły go oczyma;
A jemu przecież nad Marynę nié ma.«
»Aj, bo też śnieżek, na śnieżku kalina
Tak miłe nie są, jak miła Maryna.«
»Ni tak jagoda, ni tak róża biała,
Jak ona oczy razem serce brała.«
»Ni gładziéj trzcina gnie się na limanie,
Jak ona gładko wieje z chłopcem w tanie.«
»Ni wolniéj skacze wywiórka na lesie,
Jak ona w tanie wolno nóżkę niesie.«
»Aj, jakże kochał Fedory Marynę,
I ona miała kochać go przyczynę.«
»Jak bliźnie gwiazdy, co zawsze na niebie
We dwójkę płyną i patrzą na siebie —«
»Jak dwaj gołębie, które śród zaloty
Na nieustanne wabią się pieszczoty —«
»Tak oni razem jedną duszą tchnęli,
I serce wspólne i myśl wspólną mieli.«
»I kto ich widział w dniach owych kochania,
Serdecznie przyznał i był tego zdania:«
»Że piérwéj w księżyc z łuku wbieży strzała,
Niż w pierś Maryny niewiary zakała.«
»Że piérwéj słońce w świat świécić przestanie,
Niż przestać może Maryny kochanie.«
»Nie długo trwało przyszła chwila taka:
Róg zagrał wojnę, wojna zwie kozaka.«
»Jéj głosu słucha, opuszcza dziewicę,
Całunek mocny wyciska na lice.«
»Koń poniósł pana i znika w dalinie,
Pies w domu został, skomli przy Marynie.«
»We łzach się kąpie Maryna kochana,
Pies w progu wyje, i czeka na pana.—
»Skończone boje; Fedor z wojny wraca,
Koń z wiatrem pędzi, pędem drogę skraca.«
»W tył lecą bory, w tył pola i rzéki,
Już domu blizko, już dom nie daleki.«
»Już Fedor okiem nad rodzinną strzechą,
Już hurra woła! poznało go echo.«
»Poznało echo, ale czemu — czemu
Maryna z chaty nie bieży ku niemu?«
»Przypuszcza konia, dzwoni serce trwogą...
W świetlicę wchodzi — nie widzi nikogo.«
»W podwórze bieży... i widzi do lasku
Ślad dwojga koni, i ślad psa na piasku.«
»I na koń wskoczy i pędzi, i goni,
I strasznie krzyknie: »To oni! to oni!««
»Dogania zdrajcę, chce skłuć psiego syna:
»Ach, ja go kocham!« w głos woła Maryna.«
»I całą piersią na młodzianie spocznie;
A Fedor zadrżał, i w tył targnął włócznię.«
»Osadził konia i rzekł obojętnie:
»O, weź ją sobie, daję ci ją chętnie.
»Nie długo potrwa, weźmiesz też w zapłatę,
»By wierną była, zamkniéj dobrze chatę.««
»Pocisnął konia i pognał ku włości,
Pies za nim pobiegł, zaskomlił z radości.«

»Maryna woła, i wabi i cmoka,
Pies kły wyszczérza, sypie iskry z oka.
»Bo w psie prawdziwsza, szczérsza wierność tleje—
Lecz o kobiécie inną pieśń zapieję.«

Głos umilkł, i cicho już było, a Tetera jeszcze stał z nakłonionêm uchem, jakby mu jeszcze w zadość i w słuch i w serce nie było, jakby mu w zadość nie było tego jadu zazdrości, który już duszę jego palił, jakby jeszcze większéj pragnął boleści. Razem wstrzęsło nim okropnie, spojrzał strasznémi oczyma po swojéj kochance, jakby już na niéj mścić się miał obrazy jakowéj. W jego piersi wrzało, uderzył w nią pięścią, i wlepił wzrok w ziemię. Coś pomyślił i ułożył; chwycił kochankę za rękę i silno potoczył ją za sobą w stronę, zkąd był wyszedł ów głos zjadliwy.

Śród gęstego burzanu i głogów zarośli ujrzał wysoką postać z długą, srebrną brodą, z oczy świécącémi; byłto jakiś starzec, siedział na białéj skale, jego twarz ponura w marszczki poradlona, patrzyła się w żółty miesiąc, i mocno nim pożółkła. Bałałajka milczała na jego kolanach. Strony jéj ukoiły się, ale złośliwe słowa piewca dzwoniły boleśnie w piersiach kozaka. Twarz Tetery płonęła i bladła.

»Starcze!« rzekł głosem stłumionym wściekłością. »Starcze, czarowniku, upiorze, czarcie! twój duch piekielny zażegł duszę moję, spalił ją, moje szczęście w popiół obrócił. Umiałeś krwawą ranę zaciąć, umiéjże ją zgoić! Nauczyłeś mię swojéj kochance nie wierzyć, nauczże mię czarodziéjskiego sposobu, abym pewny był jéj serca. Gadaj starcze; bo ja ci powiadam, że moja cierpliwość krótka, moje ramię spieszne, moja szabla ostra; odczaruj, coś zaczarował.«

Starzec zaśmiał się szyderczo i dał poznać, że nie on, lecz kto inny miał pole bojaźni.

»Synu!« rzekł głosem grobowym; »miałbym ja może sposób czarodziejny wstrzymać wichry w biegu, zgasić piorunu płomień, ożywić ciało zmarłe; ale kobiétę uczynić wierną, nié mam żadnego. Jednakże posłuchaj: aby się niewierną nie stała w to podołać można.« To mówiąc oczy mu się zaiskrzyły, świécił niemi, jak świéci wilk, gdy się na swoję zdobycz ciska:

»Zrób, co zrobił waleczny Selim, ów basza Białogrodu, gdy się na Arabów wybiérał. Przed swoim na wojnę odjazdem dał spaniałą ucztę w swoim seraju. Byłato biesiada pożegnania. Wszystkie piękne seraju odaliski, chcąc się panu swemu przypodobać, nie żałowały strumieni łez gorących; o, ileż tam było westchnień i boleści! Wszystkie mówiły o swojéj miłości; wszystkie mówiły, że Selima oddalenia nigdy nie przeżyją. O, jakże się Selim, widząc takie ku sobie przywiązanie, rozpływał z radości! Chcąc je w płaczu utulić, wszystkie po kolei uściskał i ucałował serdecznie; ale nadaremnie, każda umiérała z boleści i żalu! Wzruszyło to mocno walecznego Selima, kazał przyjść dziesięciu rzezańcom, dziesięciu strasznym czarnéj twarzy hajdukom, którzy na głowie białe zawoje, a w ręku gołe pałasze noszą. »Słuchajcie mię, drogie przyjaciółki,« rzekł Selim rozczulony; »więc wy mię kochacie?« — »Kochamy!« odrzekły wszystkie jednogłośnie; »tak jest panie! kochamy cię nad wszystko w świecie.« — »I wolałybyście umrzéć raczéj, niż mię się przeniewierzyć?« — »Tak jest, panie!« odrzekły jeszcze raz wszystkie razem. A ony rzekły prawdę, chociaż jéj może rzec i nie chciały. Waleczny Selim dał swoim bacznym ewnukom jedno tylko skinienie, a wszystkie najmilsze głowy — padły u nóg Selima. Teraz dopiéro mógł Selim swobodnie pojechać na wojnę i oddać się całkiem bojom z Arabami. Tym tylko sposobem, synu mój, można być pewnym wierności kobiécéj, kiedy nas, na długi z nią rozstanek smutna potrzeba wzywa.« Tu zamilkł starzec, a jego wargi drżały, jak drżą wilka szczęki, gdy się gorącéj krwie napiją.

Tetera postradał smysły, świat cały biegł z nim w około, zdawał się być pijanym, chociaż tylko czysty zdrój ze skały postał w ustach jego.

Praxeda stała długo, zagubiona w myślach, aż razem przebudza się, bierze kochanka w ramiona, i woła głosem, głosem serce przenikającym: »O! mój najmilszy! nie słuchaj tych słów szkaradnych; jestto podszept złego ducha; ty wiész, że ja cię nad życie kocham.«

Ach, słowa te już były jéj ostatnie! Już dłoń Tytery ujęła silnie rękojeść szabli, już nic nie widział, tylko same krwawe tułoby, już nic nie słyszał, tylko sam krzyk zemsty i szkarady! Wichrzyły w nim wściekłość

straszliwa i zamęt okropny, a gdy się uczuł ujętym w ramiona, już jak łyskawica błysła szabla jego, już i spadła razem, jakby grom piorunu... W téj saméj chwili potoczyła się głowa lubéj dziewczyny u nóg kochanka, gdy jéj usta: kocham wymówiły.

Jak raniony żubr ryknał kozak z bolu i skoczył wściekle ku owéj skale, na któréj siedział ów starzec złowrogi. Ale już się widmo w powietrze rozpłynęło, i tylko śmiéch szyderczy zagrzmiał mu w uszy, jak gdyby w poklask szaleństwu lub zbrodni jego.

Kozak dopadłszy konia, puścił się nim dziko w świat za oczy; a koń z nim sadził, jakby szpony krwawego sępa wpiły się w boki jego. Dobiegł rzéki, rzucił się w rwiste strumienie, rozkroił je swoją széroką piersią, i dobił się brzegu; ale nie wstrzymał pędu i gonił w dal coraz dalszą, jak goni rwąca zawierucha.

Przy skale pozostał tylko dziewczyny tułób', białą szatą obsłonięty; jéj głowa, z któréj włosami dziki wiatr igrał, była cokolwiek na oboczu, a krew na około.

Miesiąc toczył bladą łunę po stepie, Dniepr grzmiał i łyskał wodami Zaporoża; kur zapiał na siole po raz drugi. *i. n. k.*

ROZMOWA
LUCYJANA Z NAPOLEONEM.
Przekł. z Alex. Dumas.

Jestem w Medyjolanie — nie będę mego czytelnika oprowadzał po nierównych i źle brukowanych ulicach tego miasta, lecz prosto go powiodę przed pałac królewski, w którego gmachach odgrywały się sceny, wstrząsające poźniéj całym światem.

Otoż pałac królewski — wejdźmy na wielkie wschody, i przebieżmy kilka spaniałych sal, tak cudnie przyozdobionych pędzlem Appianiego; poźniéj zatrzymamy się przed *freskami*, wyobrażającémi cztéry części świata, i przypatrzmy się stropowi, gdzie spełnia się tryumf Augusta. Ale w téj chwili, czekają na nas obrazy z życia wyjęte; dzieje współczesne wzywają naszego pióra.

Uchylmy lekko drzwi do tego gabinetu, abyśmy mogli widziéć, sami nie będąc widziani. Stało się. Widzisz przed sobą człowieka, i poznajesz go po jego nieokazałym zielonym mundurze, po jego opiętych spodniach z białego kaszemiru, i po jego butach, sięgających wyżéj kolan. Patrz na głowę jego, wyrobioną jak antyk z marmuru, patrz na tę trochę czarnych włosów na szerokiém czole cienko przymuskanych, na te siwe oczy, których się bystrość zużywała przez ciągłe przenikanie zasłony przyszłości, na te usta ściśnięte, kryjące dwa rzędy pereł, któreby zazdrość wzbudziły w kobiécie; a taż spokojność w twarzy! — jestto uznanie własnéj siły, jestto pogodne spojrzenie lwa; kiedy te usta otworzy, słyszą go narody, kiedy się to oko zaiskrzy, biją gromy, kiedy to czoło zmarszczy, drżą nieprzyjaciele. W téj oto chwili człowiek ten rozkazuje 120 milijonom ludzi, dziesięć narodów w dziesięciu językach chórem wyspiéwuje *hosannę* jego sławy; człowiek ten więcéj jest niż Cezar, więcéj, bo tyle co Karol Wielki — jestto Napoleon Wielki, Jowisz piorunujący Francyi.

Po nie długiéj chwili spokojnego oczekiwania, wlepił on oczy w drzwi otwiérające się; przez nie wszedł człowiek ubrany w sukni barwy niebieskiéj, w spodniach szarych opiętych, w butach poniżéj kolan dochodzących i wyciętych na sposób huzarski... Spojrzawszy na niego, znajdujemy w nim podobieństwo piérwotne z tym, który zdawał się oczekiwać na niego; jednakże wzrost jego jest wznioślejszy, skład ciała chudszy, cera ogorzalsza, mężczyzna ten — to Lucyjan, stary Rzymianin; republikanin przeszłych wieków, *la barre de fer de la famille* (żelazna zapora w rodzinie). Dwie te osoby, które nie widziały się dotąd od czasu bitwy Austerlickiéj, spojrzały po sobie wzrokiem, przenikającym na wskróż ich duszę; bo tylko sam jeden Lucyjan miał w oczach taką, jak Napoleon potęgę. Postąpiwszy trzy kroki naprzód, zatrzymał się. Napoleon podszedł ku niemu, i podał mu rękę.

»Bracie mój!« zawołał Lucyjan, ująwszy serdecznie w ramiona swego starszego brata. »Bracie mój, jakżem szczęśliwy, że cię oglądam!«

»Mości panowie, zostawcie nas samych;« rzekł cesarz, dając znak ręką kilku stojącym osobom.

Te trzy osoby skłoniły się i wyszły, bez najmniéjszéj oznaki wahania się, nie rzekłszy ani słowa. Z tém wszystkiém trzy te osoby, posłuszne tak lekkiemu skinieniu, były Duroc, Eugeniusz i Murat — marszałek, książę i król.

»Lucyjanie! kazałem cię wezwać;« rzekł Napoleon, gdy się sam znajdował z bratem.

»Widzisz z jakim pospiechem przybywam, posłuszny rozkazom starszego brata,« odpowiedział Lucyjan. Napoleon zmarszczył cokolwiek brwi.

»Mniéjsza oto; przybywasz w samę porę, kiedy najgoręcéj pragnę z tobą mówić.«

»Słucham;« odpowiedział Lucyjan, skłoniwszy się. Napoleon dwoma palcami ujął za guzik sukni Lucyjana, i mocno w niego się wpatrzył.

»Jakież są twoje zamiary?« rzekł mu.

»Moje zamiary?« odpowie Lucyjan zdziwiony. »Jakież mogą być zamiary człowieka, żyjącego

w oddaleniu od zgiełku świata, w samotnéj zaciszy?... Chciałbym, jeżeli się powiedzie, zakończyć spokojnie poemat, który zacząłem.«

»Prawda, prawda,« rzecze ironicznie Napoleon. »Jesteś poetą familijnym; robisz wiérsze, a ja wygrywam bitwy; po mojéj śmierci będziesz mię opiéwał. Tyle mam wygranéj nad Alexandrem, iż mogę miéć mego Homera.«

»Tyś wódz, ja poeta; któż z nas dwóch szczęśliwszy?—«

»O zapewne że ty,« rzekł Napoleon, puszczając z wyrazem złego humoru guzik, który trzymał; »bo ty nié masz powodu zmartwić się widokiem osób w swojéj rodzinie obojętnych, a może i spiski knujących.« Lucyjan opuścił ręce, i wpatrzył się ze smutkiem w cesarza.

»Obojętnych!... czy pamiętasz dzień 18go *brumaire*? spiski knujących!... i kiedyżto widziałeś mię podnoszącego rokosz przeciw tobie?«

»Kto z moich mnie służyć nie chce, nie jestże rokoszaninem? Kto nie ze mną, ten przeciw mnie... Uważ Lucyjanie, że z pomiędzy wszystkich moich braci ciebie kocham najwięcéj — wziął go za rękę — ciebie, który jeden mógłbyś przeze mnie zaczęte dzieło w koniec prowadzić. Powiédz, chceszli ustąpić od skrytego oporu, jaki mi stawisz? Kiedy wszyscy królowie Europy u nóg moich leżą, ty, ugięciem głowy miałżebyś się poniżyć?... W ciżbie orszaku pochlébców, tłoczących się za moim tryumfalnym wozem, czyliż zawsze głos brata mego wołać na mnie będzie: *Cezarze, pamiętaj, że musisz umiérać!* Słuchaj Lucyjanie, chcesz ty postępować moim torem?«

»Jakto W. C. Mość rozumié?« odrzekł Lucyjan, mierząc Napoleona wzrokiem podejrzliwym.

Cesarz w milczeniu postąpił do okrągłego stołu, stojącego w środku pokoju, a położywszy dwa palce na krawędzi wielkiéj zwiniętéj mapy, obrócił się do Lucyjana i rzekł:

»Jestem na szczycie losu Lucyjanie; opanowałem Europę, mogę ją teraz podług mego upodobania na sztuki pokrajać; w zwycięztwach równam się Alexandrowi, w potędze Augustowi, a wielki jestem jak Karol Wielki; chcę, i mogę! A zatém...« wziął za róg mapy i z jestem uroczym i jakby od niechcenia, roztoczył ją na stole, »Wybiéraj sobie królestwo, jakie ci się najlepiéj podoba, ręczę ci słowem swojém cesarskiém, że od chwili, w któréj wskażesz mi na nie palcem, królestwo to do ciebie należéć będzie.«

»Czemuż takiego układu nie robisz z innymi moimi braćmi, tylko ze mną?«

»Ty jeden tylko, Lucyjanie, jesteś człowiekiem, odpowiednim wielkim zamiarom moim.«

»Byćżeto może, kiedy zasady moje tak różnią się od twoich?«

»Spodziéwałem się, iż odmieniłeś się od lat cztérech, w których cię nie widziałem.«

»Zawiódłeś się, mój bracie, zawsze ten sam jestem, co i w 99; na tron nie zamieniłbym mego kurulskiego krzesła.«

»Szalony — do niczego!« rzekł Napoleon, przechadzając się wielkim krokiem i mówiąc sam do siebie: »Szalony i ślepy każdy, kto nie widzi, że mnie zesłało przeznaczenie na to, abym zasypał ów grób gilotyny, który oni rydwanem republikańskim zwali...« Potém, zatrzymawszy się nagle i podszedłszy ku bratu, rzekł: »Pozwól mi przynajmniéj, niech cię wzniosę na szczyt góry i pokażę królestwa ziemskie: powiesz mi, które z nich najdojrzalsze dla twoich wzniosłych marzeń. Nie... Lucyjanie... nie... czas nie przyszedł, daj pokój swoim urojonym utopijom: podaj mi rękę jak bratu i sprzymierzeńcowi, a jutro robię cię naczelnikiem wielkiego narodu, żonę twoję uznaję za siostrę, i całą pawracam ci przyjaźń.«

»To się znaczy,« rzekł Lucyjan, »że straciwszy nadzieję przekonania mię, chcesz mię podkupić.« Na te słowa rzucił się cesarz.

»Pozwól, niech na mnie teraz będzie kolej mówienia; jestto bardzo uroczysta chwila, drugiéj takiéj nie będzie w całém życiu naszém. Nié mam ci za złe, żeś mnie źle osądził, wszakże tylu oniemiłeś i ogłuszyłeś, lejąc im złoto w gardło i w uszy, żeś był już pewnym zrobić ze mną to, coś zrobił z drugimi. Powiadasz, że mnie chcesz królem zrobić — zgoda! przyjmuję ofiarę, jeżeli na to przystaniesz, aby moje królestwo nie było prefekturą twego cesarstwa. Dajesz mi naród — wezmę go, nie wchodząc, który on jest, ale pod warunkiem, że rządzić nim będę podług jego wyobrażeń i potrzeb; chcę być jego ojcem, nie tyranem; niech mię kocha, a nie drzy przede mną; od chwili, w któréj włożyłbym na głowę koronę hiszpańską, wirtemberską lub holenderską, przestałbym być Francuzem, a byłbym Hiszpanem, Niemcem lub Holendrem. Rozważ to dobrze, wtedy nie bylibyśmy już braćmi ze względu na krew naszę, lecz ze względu na stopień; wola twoja kończyłaby się u granic mego państwa. Jeżelibyś z siłą zbrojną szedł przeciw mnie, czekałbym cię gotowy; tybyś mię zapewne zwyciężył, boś ty wielki wojownik, a bóg wojny nie zawsze jest bogiem słusznéj sprawy; natenczas zostałbym królem bez tronu, lud mój ludem zawojowanym, a tobie wolno byłoby dać koronę moję i naród mój każdemu, któryby był albo ulegléjszy, albo wdzięczniéjszy. Rzekłem.«

»Zawsześ ten sam, zawsześ uparty,« mruknął Napoleon; potém tupnąwszy nogą, rzekł: »Lucyjanie zapominasz winnego mi posłuszeństwa, jako swemu ojcu, swemu monarsze.«

»Jesteś tylko starszym w rodzinie, lecz nie ojcem; bratem, lecz nie monarchą; nigdy nie ugnę karku pod jarzmem żelaznem! nigdy! przenigdy!...« Napoleon zbladł okropnie; oczy jego przybrały wyraz straszliwy, usta mu drgały.

»Zastanów się nad tém Lucyjanie, com ci powiedział.«

»Zastanów się nad tém Napoleonie, co ode mnie usłyszysz: Tyś nie zamordował, ale tylko skaléczył rzeczpospolitę, bo ugodziłeś w nią, nie śmiejąc zajrzyć jéj w oczy, a duch wolności, o którym myślisz, żeś go pod twoim despotyzmem zdławił, rośnie, rozwija się, rozszérza; tobie się zdaje, że ty go pędzisz przed sobą, a on z tyłu za tobą krok w krok idzie; dopokąd będziesz zwyciężał, dopóty on milczéć będzie; ale niech tylko przyjdzie godzina klęsk, niepowodzeń, zobaczysz, czy będziesz mógł polégać na téj Francyi, którą uczyniłeś wielką, lecz niewolnicą; każde państwo, postawione na szczycie wielkości siłą i przemocą, musi upaść przez przemoc i siłę. A ty, ty Napoleonie, który spadniesz ze szczytu tego państwa, rozbijesz się (biorąc zégarek i rozbijając go o ziemię) — rozbijesz się, patrzaj, jak ja ten zégarek rozbijam; a my, my szczątki i rozbitki twojej fortuny, jako należący do twojéj rodziny, rozprószymy się na powierzchni ziemi, i zostaniemy przeklęci, jako noszący imię twoje. Żegnam cię Sire.«

Lucyjan wyszedł.

Napoleon został sam jeden, skamieniały z oczyma w dół wlepionémi. W kilka minut dał się słyszéć turkot powozu, który wyjeżdżał z dziedzińca pałacowego; Napoleon zadzwonił.

»Co znaczy ten łoskot?« rzekł do odźwiérnego, który wszedł.

»Jestto łoskot powozu brata W. C. Mości, który odjechał do Rzymu.«

»Dobrze,« rzekł Napoleon, a twarz jego przybrała ów wyraz spokojności lodowatéj i niewzruszonéj, pod którą, jak pod larwą, ukrywał najgwałtowniéjsze wzruszenia.

Zaledwie dziesięć lat upłynęło, a już sprawdziły się wróżby Lucyjana; cesarstwo, które przez siłę stanęło, przez siłę upadło.

(Z Mercure de France.)

WYIMKI Z PODRÓŻY PO GALICYI w r. 1831.

(Ciąg dalszy.)

Na przeciw wsi Chełmiec, za Dunajcem ku wschodowi, w najpowabniéjszéj okolicy, leży obwodowe miasto Nowy Sądcz. Z strony téj płynie pod nim huczący Dunajec, z drugiéj zaś rzéka Kamiennica, dawniéj Białą zwana. Góra, wystająca na pięknéj okrągłéj wodą i górami okolonéj dolinie, z jednéj się strony zieleniejąca, z drugiéj zaś nagie prosto-spadziste skały, jakby ziobra, ukazująca, uwieńczona jest porządném miastem. Całą uroczą dolinę otaczają do koła góry gęstémi lasami porosłe, między którémi pięknie rozsiane wioski bieleją. Ku południowi za górami w dali, w czasie pogody, jakby przez mglistą powłokę, ukazują się szczyty najwyższe gór karpackich, lśniącym pokryte śniegiem.*) Miasto Nowy Sądcz było niegdyś obronne, świadczą o tém ślady fos i okopy ze strony wschodnio-południowéj, baszta jedna okrągła ku północy, szczątki grubych wysokich murów, po części powalonych, bystro w tle Dunajca się przezierające, i zamek. Wjazd do zamku przez bramę wielką; wewnątrz dziedziniec szeroki, na którym nie raz kruszono długie drzewce, i studnia głęboka. Gmach duży, wysoki, z którego dziś spodnia część i jedno piętro pozostało, służył za pomieszkanie; sale, mianowicie dolne, są obszerne; powyrzucano z nich nie dawno marmurowe kominki, a po śladach dawnych malowideł rozpina pająk spokojnie swoję tkankę. Piwnice głębokie, w jednéj znaleziono jeszcze przed kilką laty beczkę dawnego wina; mury za gmachem znacznéj grubości i wysokości, kończą się u wiérzchu cieńszym murem z porobionémi dziurami do strzelania, koło których żołnierze wygodnie stać mogli. Z jednego rogu wieża czterograniasta, mająca w górze różne architektoniczne ozdoby (z niéj można było widzieć do koła przyległe okolice), u spodu zaś głębokie więzienia. Jest także ku zachodowi i druga podobna, lecz do połowéj zniesiona wieża. Tuż za zamkiem leży kościołek piękny, stawiony na wzór rotundy Sgo Piotra w Rzymie; droga piękna z niego prowadziła aż do zamku. Przy kościołku jest przełupany na dwoje ogromny pomnik grobowy z czerwonego marmuru, wyobrażający leżącego zbrojnego rycérza, przy którym herb, zwany *Gryffem;* piękna robota zabytku tego, wystawiona dziś na cel rozpuście, znacznie uszkodzoną została. Tablica czerwona marmurowa na murze tegoż kościołka opowiada, iż go r. 1297 Wacław, król polski i czeski, założył, i przy nim konwent Franciszkanów (minorytów) osadził; obrócony został teraz na zbór wyznania akatolickiego. Drugim klasztorem, niegdyś Premonstratensów, jest r. 1400 zmurowany kościoł S. Ducha. Zdobią go różne obrazy, niektóre dość trafne; między niemi na szczególniéjszą uwagę zasługuje na drzewie malowany obraz króla Władysława Jagiełły w naturalnéj wielkości, jako założyciela tego kościoła. Król, pełnéj twarzy, mający rude włosy, zbrojny, trzyma w jednéj ręce królewskie jabłko srébrne, odziany czarnym płaszczem sobolowym, podobnym do burki, a podbitym purpurą. Trzeci kościoł, farny, wielkiéj objętości i dosyć pięknéj budowy, ma na wysokiéj swéj wieży dzwon największy może w Galicyi, lany przez majstra niemieckiego w 16tym wieku. W środku kościoła jest obraz twarzy Chrystusowéj na cyprysowém drzewie, podług podania przez Sgo Łukasza malowany. Jakkolwiek bądź jest on płodem greckiéj malarskiéj szkoły i odległéj sięga starożytności; był piérwéj w klasztorze Franciszkanów. Kościoł farny założył r. 1450 Zbigniew z Oleśnicy, arcybiskup gnieźnieński, zmarły r. 1488, o którym nasz B. Paprocki w dziele swém: »Życia arcybiskupów gnieźnieńskich« następnie powiada:

»W Sądczu kościoł fundował, wzięt potém do nieba;
»Takich arcybiskupów Polszcze zawsze trzeba.«

Kolegiata sądecka, mająca pod sobą niegdyś 208 kościołów, należała do biskupstwa krakowskiego; umieszczonych było przy niéj 12 prałatów. Kościołek drewniany Sgo Krzyża, leżący zaraz za miastem, dziś już rozebrany z téj przyczyny jest znakomitym, iż niegdyś miał należéć

*) Mieszkańcom tegoż miasta służą te szczyty podobnie jak w Szwajcaryi za przepowiednią pogody. Jeżeli ich nie widać, to wróżą sobie deszcze, w przeciwnym zaś razie pogodę.

do biskupstwa praskiego*), i że w nim Śty Wojciech, tu nauczający, często służbę bożą w sławiańskim jeszcze języku odprawiał. Ostatnią sławiańską liturgiję miał w nim r. 1440 kardynał, a potém metropolita kijowski i carogrodzki, Izydor z Rusi, wracający do ojczyzny z listami papieża i cesarza greckiego. Na ratuszu, stojącym w środku miasta, są dwa miecze katowskie, jako pamiątka *jus gladii* miastowego, potém wiele pargaminowych przywilejów starych i kronika dawna tegoż miasta pisana, z różnémi malowidłami i ozdobami. Klasztor Pijarów, obszérny, obrócony został na gimnazyjum; założony pierwotnie przez Gryffinę, wdowę Leszka Czarnego, która będąc w zakonie Śtej Klary w Starym-Sądczu, z powodu licznych łupieztw, jakie się tam działy, konwent przenieść tu chciała. W tymto celu kupiła plac od niejakiego mieszczanina sądeckiego Piotra zwanego Bogacz, i postawiła tu klasztor; lecz gdy siostry — podług słów kroniki tamtejszego kustosza Marcina Frankowicza — dla świętości tego miejsca, gdzie spoczywały zwłoki założycielki piérwszéj, opuścić nie chciały, przymuszona była Gryffina darować klasztor ten z początku Franciszkanom, którzy go poźniej Pijarom odstąpili.

Pierwotne dzieje miasta Nowego Sądcza mają za posadę różne cuda. Pominąwszy zdanie niektórych, jakoby Sądcz był miastem *Asanca*, przychodzącém u Ptolomeusza i w krajobrazach Peutingiera, wspomnę tu świadectwo Bonawentury Sikorskiego, gwardyjana konwentu sądeckiego, który w mało-znanéj swéj książeczce: »Historyja o obrazie Przemienienia Pańskiego w Sączu, w Krakowie 1767,« następujący wyjątek z dziejów konwentu nowo-sądeckiego około 1661 r. przez Fr. Brechsę napisanych przywodzi: »Wysłał niejakiś książę ruski posłów swych do króla węgierskiego z obrazem Przemienienia Pańskiego. Po długiéj podróży, przy nadchodzącéj nocy zmuszeni byli jednego razu udać się na spoczynek do jednego pustelnika, mieszkającego w śród lasu, nie daleko wsi Kamionka. Nazajutrz z rankiem chcą rozpocząć dalszą podróż, aliści woły i siły ludzkie wozu, na którym obraz ten święty spoczywał, z miejsca ruszyć nie mogły. Zostawili tu więc obraz, a krol Wacław, zdziwiony tą wieścią, założył tu najprzód r. 1297 klasztor, a potém i miasto obronne.« Podług drugich dziejów téjże kolegiaty r. 1680, przez ks. Konstantyna Malegowskiego spisanych, a w archiwum konwentu krakowskiego się znajdujących, miał obraz ten darowany być przez księcia ruskiego Lwa (ten zaś dostał go od cesarzów wschodnich) pustelnikowi jednemu, pobożne życie tutaj prowadzącemu. Wszelakoż miasto dawnych bardzo sięga czasów; w dziejach widziémy już r. 1359 Wilczka z Boczowa, jako kasztelana sądeckiego, po nim zaś r. 1381 Krzesława z Chodowa Kurzowęckiego. Kasztelani sądeccy trzymali między mniéjszémi piérwsze miejsce; urząd ten piastowali ludzie z najznakomitszych domów: Tarnowscy, Tęczyńscy, Kmitowie, Bonnerowie, Stadniccy, Tarłowie. Miasto kwitnęło niegdyś, podług Starowolskiego, przemysłem i obszérnym handlem; do dziś dnia jeszcze obszérne piwnice w mieście się znajdujące, świadczą, iż tu były wielkie składy winne; piwo zaś sądeckie do najsławniéjszych w Polszcze liczono. Roku 1350, uczczone pobytem Ludwika, króla polskiego i węgierskiego, wywyższone zostało (podług Kromera, księg. XII. str. 255) do rzędu sześciu najwyższych apelacyjnych miast w Polszcze; następnie spalił je Scibor, wojewoda węgierski. R. 1611 obrócił ogień całe miasto w perzynę; r. 1649 zaś otrzymało pochwałę od króla, z powodu, iż mężnie Szwedów zniosło. O zwycięztwie tém starszy mieszkańcy następujące szczegóły rozpowiadają: »Szwedzka załoga tego miasta umyśliła dnia jednego wyrznąć wszystkich mieszkańców; dano więc rozkaz tajemny wojsku przygotowania się do rzezi nazajutrz i zakazano pod gardłem rzecz tę komu wyjawić. Pewny żołniérz szwedzki, którego miłość do dziewczyny jednéj tamtéjszéj pociągała, przyszedł do niéj wieczorem i ze łzami w oku zaklinał, aby opuściła zaraz miasto, gdyż nazajutrz okropna rzeź miała nastąpić. Dziewczyna, lubo tajemnicy dotrzymać obiecała, pobiegła jednak zaraz do gospodarza z odkryciem całego zamiaru; ten zaś udzielił go innym ostrzegając. Mieszczanie, którym już o dobro własne chodziło, wysłali prędko poselstwo do przyległéj wsi Nawojowéj, wzywając pomocy włościan. W nocy weszli włościanie, uzbrojeni w kosy, za pomocą drabin do miasta, a złączywszy się z mieszczanami, wycięli wszystkich, tak, iż nawet ostatniemu nie zostawili życie, który się dla swéj ochrony na wieży kościelnéj ukrył. Król szwedzki, rozgniewany tym czynem, postanowił zniszczyć miasto, i zburzył mury onegoż. Herb miasta są trzy wieże, w średniéj bramie stoi rycérz, zbrojny w helebardę; powiatowy zaś ma trzy białych i modrych pól z jednéj strony, z drugiéj zaś dziewięć gwiazd w polu czerwoném. — Mieszczanie, chociaż znacznie przeinaczeni, wiele jednak z dawnych zachowali obyczajów. Strojem kobiét tutejszych jest krótka jupka, także przyjaciółka zwana, z długiémi rękawami, najczęściéj z zielonego w duże kwiaty wyrabianego atłasu, podbita białém futerkiem, spodnice noszą z materyj dawnych brokatowych w złote kwiaty wyrobionych, na głowie zaś czepiec lity z złotogłowiu. Obrzędy ich weselne na szczególniéjszą zasługują uwagę. Po ślubie podają pannie młodéj sklaneczkę wina, nakrytą kawałkiem kołacza, w który jest rozmarynowa rószczka wetknięta. Podczas całego wesela odbywają się posiedzenia tak zwanego cechu hultajskiego, którego członkowie, a mianowicie sekretarz, noszący imię: Instygator, pełnią służbę ceremoniarzy. Cech ten niegdyś w Polszcze zapewne széroko był rozgałęziony, ma bowiem nadane sobie dawne od królów polskich przywileje, które się w skrzyni cechowéj, zwanéj skarbcem, ozdobionéj różnémi figlarnémi malowidłami, wraz z innémi osobliwościami, u cechmistrza przechowują. Drużba, służący na weselu, musi być koniecznie członkiem tegoż cechu i wpisanym do ksiąg cechowych. Nowicyjusze, którzy po piérwszy raz drużbują, powinni się albo znaczną ilością pieniędzy (które na ucztę cechową, tak zwaną: konzolacyją, obrócone bywają), do cechu wkupić, albo też obrząd frycowania odbyć. Naciérają takiemu brodę cegłą, golą potém starym nożem, a nasadziwszy mu na głowę stary kapelusz szwedzki, prowadzą go na powrozie ze słomy, o jednym tylko bucie z potłuczonémi garnkami na plecach w około miasta; cały ten orszak poprzedza muzyka, za którą skarbiec cechowy obnoszony bywa. Kto obrzęd ten odbył, zostaje frycem (ztąd przysłowie: fryc, frycować), otrzymuje przezwisko hultajskie i zapisują go jako członka do ksiąg cechowych. Dawniejszemi czasy pobiérał cech hultajski od tych, którzy się po dwudziestym roku nie żenili, aż do ślubu osobny podatek. (Ciąg dal. nastąp.)

C. k. austryjacki badacz przyrody, pan Natterer, po wielu przebytych niebezpieczeństwach i stratach, uniknąwszy burzliwych scen w północnéj Brazylii, których był świadkiem, po 56-dniowéj podróży morskiéj, przybył dn. 9. listopada na angielskim statku parowym do Londynu. — Od czasu zamordowania prezydenta północnéj Brazylii i zajęcia Pary w d. 7. stycznia r. b. przez Indyjan, miasto to było widownią krwawych wypadków. Z powodu tego gdy handel ustał, gdy żadne okręty nie odbijały, podróżny nasz nie mógł z tych miejsc wyjechać. Najokropniéjsza scena rewolucyjna zdarzyła się

---

*) Granice dyjecezyj téj jeszcze za Wojciecha Sgo miały się rozszérzać aż po Bug i Dniestr.

dnia 14. sierpnia; przez 9 dni trwała walka, każdy dom był zdobyty, zrabowany, i wszyscy biali wymordowani. Natterer ratował się ucieczką na okręt angielski *Race Horse*, lecz wszystkie swoje zbiory musiał zostawić na pastwę powstańcom. Za wdaniem się kapitana tego okrętu, w czasie zawieszenia broni, udał się on d. 30. sierpnia do Pary, i otrzymał pozwolenie poszukiwania swojéj własności. Przybywszy do swego mieszkania, zastał wszystko w największym nieładzie i zniszczeniu; skrzynie wyłamane, powyrzucane przedmioty, a z licznéj menażeryi większa część pozabijana, a co było do użycia, zjedzone zostało. Z wielkiém niebezpieczeństwem chodził on przez tydzień na ląd, i zgromadzał szczątki swoich zbiorów, które przenosił na okręt; bo Indyjanie zabijali każdego, kto nié miał karty bezpieczeństwa od ich prezydenta Eduardo. Z braku czasu i ludzi do przenoszenia tych rzeczy, musiał reszty zbiorów swoich zaniechać, i odpłynąć może na zawsze z téj części świata, którą przez lat 18cie objeżdżał i zbadywał. — Że zaś wielki transport 22 skrzyń, który nasz naturalista w jesieni przeszłego roku wyprawił, najlepiéj dochowany przybył do Wiédnia w kwietniu b. r. i który zawiérał zbiór najważniejszych przedmiotów (200 zwiérząt ssących, 1700 ptaków, 150 zwiérząt ziemnowodnych, 190 ryb, 150 pak z nasionami, przeszło 400 przedmiotów etnograficznych, zebranych z jakich 20 pokoleń indyjskich), przeto strata teraźniejsza ogranicza się jedynie na zbiorach, poczynionych od owego czasu, i na tych, które wtedy przesłanémi być nie mogły.

P. Tomasz Ujazdowski odkrył pomnik, który możeby mógł przyłożyć się do objaśnienia nie jednego wypadku w dziejach naszych. Jestto obraz wojewody wołoskiego Jana de Ognast, który unikając zamieszek w swoim kraju, schronił się do Polski, a następnie był starostą czekowskim, około r. 1450, i w Krakowie życia dokonał. Obraz ten starożytny w 15m wieku malowany na drzewie, przedstawia Jana de Ognast w zbroi klęczącego. P. Ujazdowski, jak słychać, dał pomieniony obraz do odkopiowania, i ma zamiar ogłosić drukiem opis tego pomnika.

Wkrótce wyjdzie w niemieckim przekładzie dzieło astronoma Herszla, zawiérające arcy-ciekawe i nadzwyczajne postrzeżenia nad planetą księżycem, którego rośliny, zwiérzęta, gmachy, i podobne do ludzi istoty ze skrzydłami, przez ogromny teleskop od tego sławnego astronoma na 80 jardów (40 sążni wied.) przybliżone do oka zostały.

Dzienniki niemieckie ogłaszają teraz wypadki postrzeżeń pana Gruithusen, łącznie z postrzeżeniami jego towarzysza, astronoma Schröter, z których się okazują fakta następujące: 1). Że wegetacyja roślinna rozciąga się na księżycu od 55go stopnia jego szérokości południowéj do 95° szérokości północnéj; 2) że od 50° szérokości północnéj aż do 47° szérokości południowéj okazują się najwidoczniejsze znaki pobytu istot ożywionych; nakoniec 3) że wiele znaków przekonywa o znajdowaniu się nawet ludzi; gdyż widać jasno wielkie drogi, rozchodzące się w licznych kierunkach, nade wszystko zaś, wielki gmach murowany, znajdujący się pod samym równikiem. Okolice tego gmachu przedstawiają widok ludnego miasta, przy którém znajdują się jakieś fortyfikacyje, podobne do tych, które w języku naukowym nazywają się redutą gwazdzistą, opatrzone rozchodzącémi się w kształcie rogów szańcami. (T.P.)

Mistress Child wydała nie dawnym czasem dzieło: »Dzieje stanu kobiet w różnych wiekach i krajach *(History of the condition of women)*, 2 tomy.

Jul. Janin opowiada w *Revue de Paris* małą przygodę, jaka się przytrafiła kolosalnemu modelowi do popiersia Göthego, zrobionemu przez rzeźbiarza Davida w Weimarze. Ogromne to popiersie, przybywszy na komorę w Paryżu, zdziwiło wszystkich celników, którzy nie mogli przypuścić, aby taka massa gliny miała przedstawiać tylko twarz człowieczą; jeden więc celnik rożnem swoim na wskróż prześwidrował model, szukając kontrabandy. »Lecz (dodaje Jul. Janin) potrzeba mu przebaczyć, bo o Göthego czaszce musiał ze swojéj brać miarę.«

P. Peyronnet napisał z głębi swego więzienia Ham, bardzo piękne wiérsze do pa. Bornier w Lunel, którego zaprasza, aby go nawiédził, i przekonał się, że i więzień z czystém sumieniem może być szczęśliwy. Godło do tego poetycznego utworu wyjęte jest z psalmu: »Między umarłymi stałem się wolnym. *(Factus sum, inter mortuos, liber)*.« Przebacza on swoim nieprzebłaganym prześladowcom, a gorąca miłość ojczyzny w każdym oddycha wiérszu.

Pięć koni dobijało się w Paryżu d. 17. września o nagrodę 12,000 frank. To jest: Miss Anneta, lorda Seymour: Helena, pani Cazalot; Arlette, pana Fasquet; Veronaise, pana Palmor; Agar, ze stada du Pin. Agar, klacz przeszłoczna, kupioną została przez hrabiego Cambis za 10,000 frank. Lord Seymour dawał za nią 8,000 fr. Hrabia Cambis przed wyścigami klacz swoję odebrał, albowiem chciał ją oszczędzić do najbliższych wyścigów na niedzielę. Zwycięztwo odniesła miss Anneta, która od miesiąca maja wygrała właścicielowi przeszło 30,000 fr.

W frankforckiéj Konwersacyjnéj Gazecie ktoś sobie zadał pracę i zebrał różne nazwy, jakie od wieków, zacząwszy od Mojżesza, rozmaici sławni pisarze dawali człowiekowi, i tak: w księdze Hiob człowiek nazwany jest *synem prochu*; Platon nazywał go *cudem niebieskim i współdziałającém narzędziem*; Sokrates nazywał *małym bożkiem*; Plotinos *panem wszystkiego dobra*; Filemon *powodem do nędzy*; Herodot *samą nędzą*; Sofokles *wyobrażeniem*; Pindar *snem cienia*; Szekspir *cieniem snu*; Eschil i Arystofanes *dziennem stworzeniem*, *synem ziemi*; gnomicy greccy nazywali *tchnieniem*, *dźwiękiem*; Homer i Ossyjan *opadającym listkiem*; Arystoteles *małym światem*; Göthe w swoim Fauście *małym światem głupców*; Herder *dla zwierząt widzialném bóstwem ziemi*; pani Ertel nazywa go *promienistą koroną stworzenia*; Demme żartując powiada: *ludzie nie są aniołowie, ale też i nie diabły*; a Szyller nazywa go: *Pierwszym z robaków i najszlachetniéjszym panem natury*. (K. W.)

Race kongrewskie. Raca, ważąca 12 funt. położona wolno na ziemi i w takim stanie zapalona, przebiega szybko przestrzeń od 400 do 500 metrów, nie wznosząc się wyżéj o 5 do 6 stóp nad powierzchnią ziemi. Dosięgłszy takiéj odległości pada na ziemię i podskakując odtąd do bardzo znacznéj wysokości, znowu takąż lub większą jeszcze przestrzeń przebiega. W czynionych nie dawno doswiadczeniach, przeleciawszy do 1000 metrów, przebiła jeszcze wał z murawy, i na drugiéj jego stronie pękając, rozrzucała na wszystkie strony 72 kule, któremi była nabitą. Podczas oblężenia Oporto, ani artyleryja, ani ogień ręcznéj broni wojsk don Pedra, nie czyniły na miguelistach najmniéjszego wrażenia, lecz dość było 2 rac sześcio-funtowych dla wprawienia ich w największe zamieszanie.

Mody. Z najpowabniejszych nowych utworów mody są tak zwane weneckie szale; są one bardzo wielkie, bogato haftowane i z gładkiego białego kaszemiru; przytém obszyte są koronką z fałdowanego kaszemiru na ćwierć łokcia széroką, i ozdobioną rysunkiem gotyckim. W ogólności strój ten nadzwyczajnie jest lubiony, i najlepiéj wieczorem przy świetle odbija. Płaszcze *Maintenon* są całkiem nowym wynalazkiem; mają one podobieństwo do zwierzchnich surdutów, z małym kolistym kołnierzem, który każdą razą zamienia się w kapiszon, dla osłonienia głowy. — Męzkie zwierzchnie surduty wszystkie prawie nie przechodzą po za kolana; powszechnie wyłożone są aksamitem i z sukiennémi klapkami na piersiach do zapinania.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.